

Spotkania Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej

w latach

2001 - 2002

Jolanta Zych - Prezes, Tadeusz Podkański - Wiceprezes; Krystyna Kuszta - Wiceprezes i Sekretarz; Tomasz Kachelski - Skarbnik; Członkowie Zarządu - Andrzej Łowkis, Krystyna Okuniewska, Helena Kołodziej (niepełna kadencja)



Spotkanie z Krzysztofem Zanussim

20 stycznia 2001

Że będzie mi dane spotkać pana Zanussiego osobiście - nigdy nie przypuszczałam, ale na swój własny użytek i dzięki pomocy prasy i innych mediów ukułam sobie obraz człowieka niezwykle kulturalnego i poukładanego wewnątrz. I taki też pan Zanussi jest, ale pod tą kulturalną skorupą, zbroją niemalże, pod tą sztywnością, o której sam Zanussi często i chętnie wspomina, doszukałam się również prowokatora, co kłóciłoby się może z powszechnym wizerunkiem reżysera, a co składa się na obraz szalenie interesujący i skomplikowany. Tak jak jego filmy. Pozornie uporządkowane, ascetyczne, a przecież dotyczące najboleśniej sfer życia ludzkiego. I chociaż mowy nie ma o oddzielaniu formy od treści, które wzajemnie się uzupełniają i stanowią nierozdzielalną jedność (wszak nie można sobie wyobrazić żadnej treści poza formą, ani formy nie sugerującej żadnej treści), to forma (o przebac Boże i wszyscy teoretycy literatury!) w przypadku filmów Zanussiego stanowi jakąś przeciwwagę dla treści, brzeg o który się treść rozbija (a może tylko na nim zatrzymuje), ramę, naczynie, w które stara się prawdy egzystencjalne zmieścić, a które ich pomieścić nie mogą, zawsze bowiem wychodzą poza ustalony, bezpieczny i pozorny porządek świata. Więc ten ład, ta sucha obserwacja jest prowokująca. I na jej tle właśnie - ważne pytania jaskrawiej się zaznaczają.

Prowokacja Zanussiego, tak w filmach jak i w życiu (czytaj: spotkaniach autorskich), to wynik przemyśleń, obserwacji, to program niewygodny jak gorset, ale równocześnie podtrzymujący misterną konstrukcję, nie pozwalający na jej rozproszenie i zawalenie. Gorsety w dzisiejszych czasach są mało popularne, budzą ogólne zdziwienie, jak chociażby zdziwienie a także bunt wywołują prawa i prawdy fundamentalne bronione przez papieża i Kościół (choć akurat na spotkaniu Zanussi wspominał o gorsetach w kontekście religii niechrześcijańskich). Nie bronione doprowadziłyby przecież Kościół i religię do upadku. I Zanussi ma swoje prawdy, których broni. Przed deklasacją, i to głęboko pojętą - nie tylko jako "wyrzucenie z siodła", ale jako utrata kultury, godności człowieka. Stąd może programowa niechęć do nacji słowiańskiej, nie tyle do niej co jej "słodkich" przywar bujnie rozkwitłych na żyznym gruncie komunizmu.

W filmach Zanussiego spojrzenie na rzeczywistość jest spojrzeniem prawdziwego humanisty. Zarzucają Zanussiemu pesymizm, a przecież bohaterowie tych filmów to Wielcy Poszukiwacze Prawdy, mający w sobie niemal dobro i naiwność dziecka. Istnieją, nie zgadzają się z zastanym światem, odrzucają konformizm, zderzają się z innymi postawami i nawet te postawy łamią, przypominają im o Raju Utraconym, z którego kiedyś wszyscy wyszli i o którym chwilowo zapomnieli. A którego obecność nagle sobie uświadamiają w zderzeniu z czystością moralną.

Są jak dusze z filozofii Platona, które zanim połączyły się z ciałem przebywały w świecie idei, i za tym światem wciąż tęsknią i do niego dążą. I nawet jeśli w ziemskiej wędrówce do całkowitego nawrócenia nie dochodzi, to na pewno dochodzi do podania w wątpliwość stylu i filozofii życia dotychczas wyznawanych. Nie byłby Zanuszi Zanusim, gdyby nie postawił kolejnego znaku zapytania, bo ta czystość moralna też jest trochę podejrzana, do końca przecież nie wiemy z jakich pobudek wynika czy jest odbiciem prawdziwego Dobra czy może tylko sposobem na poprawienie własnego wizerunku i na dobre samopoczucie. Takimi wytraconymi z równowagi i pewności sprawdzonych i wygodnych porządków życiowych są (między innymi oczywiście, bo trudno w krótkim felietonie pisać o wszystkich bohaterach) wykładowca z "Barw ochronnych" i lekarz z ostatniego filmu Zanusiego "Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową". Pierwszy eksperymentujący nie tylko na brzydzącym się kłamstwem i układami młodym pracowniku naukowym, ale także na sobie. Drugi - równie cyniczny co pierwszy bohater, w obliczu choroby i śmierci szukający nie tylko ratunku, ale i odpowiedzi na pytanie co tak naprawdę ma sens. Reżyser obserwuje wnikliwie każdą z postaw, żadnej jednak nie potępia ani surowo nie osądza.

Film "Życie jako śmiertelna choroba" ma kompozycję kłamrową. Rozpoczyna go scena z życia świętego Bernarda przygotowującego na śmierć złodzieja koni, a kończy scena w prosektorium, w którym na ciele bohatera ma dokonać sekcji jego znajomy student. Pełną spokoju twarz rzeźmieszka gotującego się na śmierć i słowa "Tnij. To tylko ciało". To tylko ciało. Chwilowo wypożyczone do ziemskiego życia.

Szkiełko i oko Zanusiego zostały wzbogacone o uczucie i wiarę, dzięki czemu obraz świata przedstawionego jest pełniejszy, chociaż i tak pełen znaków zapytania. Tych znaków zapytania jest w filmach Zanusiego więcej niż odpowiedzi, bo padają pytania, na które łatwo odpowiedzieć nie jest, na które jednoznacznych odpowiedzi nie ma. I być może właśnie w życiu o to chodzi - o TRUD zadawania ważnych pytań. Może samo poszukiwanie sprawi, że się chociaż otrzemy o Wielką Tajemnicę.

Pana Krzysztofa Zanusiego mieliśmy zaszczyt gościć w Klubie Modrzejskiej 20-go stycznia 2001 roku w uroczej rezydencji Joanny i Andrzeja Maleckich. Artyście towarzyszył pan Krzysztof Wojciechowski reprezentujący interesy reżysera w Stanach Zjednoczonych. Gości powitała w nowym tysiącleciu prezes klubu pani Jolanta Zych, a spotkanie poprowadził pan domu. Ja tam też byłam, miód i wino piłam, i słuchając pięknej polszczyzny pana Zanusiego myślałam o tym - co powyżej.

O czym z szacunkiem donosi w nastroju filozoficzno-filmowym

Dorota Czajka-Olszewska



ROMAN MACIEJEWSKI - PORTRET KOMPOZYTORA

17 marca 2001

Wiedziałem, że będzie to spotkanie wypełnione muzyką współczesną, która powszechnie nie cieszy się opinią łatwej i przystępnej. Jadąc krętymi drózkami do rezydencji państwa Jolanty i Aleksa Wilków w Anaheim Hills nie spodziewałem się, że zbliżający się wieczór przyniesie tak ogromny sukces. Spotkanie rozpoczęła pani prezes, Jola Zych, oznajmiając decyzje zarządu o przyznaniu honorowego członkostwa Tomaszowi i Annie Kachelskim za zasługi i długoletnią pracę na rzecz klubu. Zebrani przyjęli tę wiadomość gorącym aplauzem.

Kiedy umilkły oklaski, uwaga wypełnionej sali przeniosła się na przedmiot spotkania - Życie i twórczość polskiego kompozytora Romana Maciejewskiego. Głos zabrała pani profesor Maja Trochimczyk, od pięciu lat wykładowca na Wydziale Muzyki Uniwersytetu Południowej Kalifornii (USC), dyrektor Polish Music Center, szczącącego się największą w Stanach Zjednoczonych kolekcją muzyki polskiej http://www.usc.edu/dept/polish_music.

Inspirowana 25 rocznica amerykańskiej premiery Requiem Maciejewskiego w Music Center w Los Angeles, pani Maja przygotowała program tego wieczoru, aby przybliżyć nam sylwetkę kompozytora. Krótka biografia Romana Maciejewskiego (1910-1998) sugerowała skomplikowaną indywidualność, przedstawiała artystę przenoszącego się z miejsca na miejsce, współpracującego z największymi nazwiskami świata muzyki, ocierającego się o światowy sukces i rozgłos tylko po to, aby je odrzucić. Jego bogaty dorobek twórczy w postaci licznych utworów wokalnie-orkiestrowych, orkiestrowych, kameralnych, chóralnych i fortepianowych oraz skala ekspresji tej muzyki, sięgająca od subtelnych mazurków do monumentalnego Requiem, odsłania artystę obdarzonego wielkim talentem. Poznawaliśmy kompozytora, który z pasją przemawiał poprzez swoją muzykę, ale konsekwentnie unikał rozgłosu i może dlatego jego twórczość wciąż oczekuje dnia swojego wielkiego odkrycia.

Nie znając wcześniej twórczości Romana Maciejewskiego, niecierpliwie oczekiwałem ilustracji muzycznych. Zanim usłyszeliśmy pierwsze tony, pani profesor przygotowała nas do słuchania i interpretacji tych utworów, obudziła ciekawość i wskazała sposób śledzenia biegu muzyki poprzez porównanie jej do "tkaniny polifonicznej". Usłyszeliśmy dwa kilkuminutowe fragmenty nagrania Requiem, dzieła, które kompozytor dedykował ofiarom wojny. Słuchając fragmentu Kyrie, utożsamiałem linie dźwięków z przędzą przewijającą się w splocie bogatego sukna. Nie była to muzyka trudna. Odniosłem wrażenie, że nawiązywała bardziej do muzyki klasycznej niż współczesnej. Była to muzyka o wielkiej wyrazistości, gdzie z potężnej fali dźwięku wydobywały się subtelne linie głosów, jak gdyby bezradne i zagubione w obliczu bezwzględnej i nieobliczalnej siły, wołając o litość i zmiłowanie. Drugim fragmentem była wizja nieba w Dies Irae, muzyka przepojona liryzmem i słodyczą, zaskakującą czystością sopranowego głosu.

Pani Maja zaprosiła nas do obejrzenia kilkuminutowego fragmentu biograficznego filmu Outsider, zrealizowanego przez Stefana Szlachtycza. Na wielkim ekranie telewizyjnym pojawił się starszy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, opowiadający o niemal tragicznym wypadku górskim, który przeżył, o swojej głębokiej wierze i zamiarze wyrażenia jej w wielkim dziele muzycznym. Ze słów samego kompozytora i ze wspomnień jego przyjaciół, wyłaniał się obraz zmiennych losów Romana Maciejewskiego, jego wędrówki przez szereg krajów, jego nadziei, radości i niepowodzeń. W pamięci pozostanie na pewno opowieść o nieznanym muzyku, który udał się z ciężką walizką wypełnioną partyturą Requiem do światowej sławy dyrygenta, Rogera Wagnera i przekonał go do podjęcia ogromnego wysiłku realizacji koncertu z udziałem 240 muzyków w jednej z najbardziej prestiżowych sal koncertowych świata. Film przedstawił Romana Maciejewskiego jako wielkiego artystę, człowieka stanowczego, wolnego od szablonu, ale ulegającego nastrojom i silnym namiętnościom.

Zbliżyliśmy się do kulminacji wieczoru, amerykańskiej premiery tria smyczkowego "Matinata" (Poranek) w wykonaniu trojga młodych muzyków, studentów USC - Elisabeth Means (wiolonczela), Michael Atwood-Fergusson (altówka) i Rhys Buchele (skrzypce). Zaczeli cichą i wolną frazą zawierającą delikatny dysonans. Pierwszą część, Nightshadows (largo), odebrałem jako spokojne przebudzenie, drugą część, Song at Sunrise (andante), bardziej dynamiczna, melodyczna, wniosła ciepło słonecznego światła i przygotowywała do części trzeciej, The Daily Rush (presto), która, pełna ekspresji, kłębiła porywającą energię. Energia ta, z ostatnim dźwiękiem utworu udzieliła się słuchaczom i wywołała długą falę entuzjastycznych oklasków. Muzycy, wyraźnie uskrzydleni siłą i finezją wykonywanej muzyki, łatwo skapitulowali przed wołaniem o bis.

Ucichły instrumenty, zamilkły owacje. Artyści, goście i członkowie klubu przeszli na obszerne patio, gdzie gościnni gospodarze, państwo Wilkowie, podejmowali wszystkich gorącym posiłkiem, owocami i winem.

Cicha, chłodna noc i rozległy widok ze wzgórza wzmagały rezonans emocji muzycznego przeżycia. Stojąc w małych grupkach dzieliliśmy się wrażeniami. Był to niezapomniany wieczór.

Jarek Klimczak



Spotkanie z Tomaszem Misztalem 29 kwietnia 2001

I znów nasi niezawodni przyjaciele z POLAMu udzielili nam gościny. Tym razem było to spotkanie z utalentowanym polskim artystą, Tomaszem Misztalem, połączone z wystawą jego prac. Wystawa składała się z dwóch części: "Malarstwo" i "Kartki dziennika szpitalnego". Prace powstały w bardzo trudnym dla artysty okresie pobytu w szpitalu po wypadku samochodowym, któremu uległ w listopadzie 1998 roku oraz podczas długiej jego rekonwalescencji. Wystawę tę dedykował twórca tym wszystkim, którzy, jak wyraził się "szczodrze udzielili mi swojego wsparcia". Tomasz Misztal ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku, gdzie uzyskał doktorat i gdzie wykładał przez dziesięć lat na wydziale rysunku i rzeźby. Podróżował po świecie, wystawiał swoje prace w wielu krajach. Jego rzeźby podziwiane są w Muzeum Watykańskim, w Bruder Klaus Sachseln Museum w Szwajcarii, w zbiorach Bank of Portugal i Muzeum Narodowego w Gdańsku. Wiele prac znajduje się w kolekcjach prywatnych. Od ponad trzech lat mieszka i tworzy w południowej Kalifornii. Większość z nas miała okazję poznać prace artysty podczas poprzednich jego wystaw. Doskonale pamiętamy wrażenie jakie wywarła na nas pierwsza wystawa w Irvine - wspaniałe rzeźby i obrazy, oraz portfolio ze zdjęciami niezwykle prac o tematyce sakralnej, które znajdują się w wielu krajach. Później były wystawy w Los Angeles, Santa Monica, Laguna Beach, Hollywood, Santa Barbara, a ostatnio w Catholic Center w UCLA. W grudniu odbędzie się w Nowym Jorku wystawa jego prac inspirowanych muzyką Witolda Góreckiego.

Rozmowę z artystą przeprowadził członek klubu, sam znakomity malarz i wykładowca w Pasadena Art Center College of Design, Leonard Konopelski. Pan Tomasz podzielił się z nami rozważaniami nad tym, co według niego kieruje jego ręką podczas pracy. Zrobił to w sposób przejmująco szczerzy i przekonujący. Uderzająca jest jego wiara w istotną rolę wartości duchowych w procesie tworzenia. Bez najmniejszych wątpliwości podkreślił dominujący udział wiary i duchowego skupienia w procesie twórczym. Świadomość o nadrzędnej roli ducha nad materią, z której jego dzieła powstają wyraźnie promieniuje z jego prac. Przekonanie o tym pozwala na lepsze zrozumienie dzieł, które koncentrują się na tematyce religijnej (ołtarze, drogi krzyżowe), szlachetnych porywach politycznych (rzeźby powstałe w okresie "Solidarności" w latach osiemdziesiątych) oraz głębokich tematach ogólnoludzkich.

W czasach, kiedy często dominuje marketing artystyczny i zaspakajanie gustów klientów po uprzednim sprawdzeniu na Internecie, co ostatnio dobrze się sprzedaje, spotkanie z artystą o wspaniałych osiągnięciach a przy tym tak uduchowionym i niezwykle skromnym zostanie na długo w naszej pamięci.

/ sekretarz klubu



Spotkanie z Beatą Poźniak

19 maja 2001



Gościem i duszą majowego klubowego spotkania była Beata Poźniak - znana aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna, producentka, reżyserka, poetka oraz działaczka społeczna. Dzięki POLAM-owi, który udzielił nam gościny, mogliśmy również podziwiać wystawę jej obrazów, grafik, rzeźb interesujących masek z różnokolorowych piór, uprzednio wystawianych w Raleigh Studios w Hollywood. Podczas spotkania, które rozpoczęła znana ze swej działalności charytatywnej i społecznej Nalini Lasiewicz, pani Beata opowiedziała nam o swoich dokonaniach i planach. Ilustrowała je pokazem obszernych fragmentów filmów oraz programów telewizyjnych, wcześniejszych - polskich oraz bardziej współczesnych - amerykańskich, w których występowała. W spotkaniu wzięło również udział wielu amerykańskich przyjaciół i współpracowników pani Beaty. Beata Poźniak po ukończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi bardzo szybko znalazła uznanie w oczach krytyków i publiczności. Grała w doskonałych teatrach, między innymi w Teatrze Współczesnym w Warszawie, z wielkimi aktorami scen polskich. Jej role w sztukach "Jak się kochają", "Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna", musicalu "Niech no tylko zakwitną jabłonie" i serialu "Życie Kamila Kuranta" uzyskały znakomite recenzje. W ciągu niewielu lat kariery aktorskiej w Polsce osiągnęła bardzo wiele.

W 1988 roku przyjechała do Los Angeles, aby wziąć udział w pokazie filmu Andrzeja Wajdy "Kronika wypadków miłosnych" podczas festiwalu zorganizowanego przez Amerykański Instytut Filmowy. Odtąd pracuje w USA i jak wszyscy wiemy odnosi wiele sukcesów. W fascynujący sposób opowiedziała nam, jak przygotowywała się do zdjęć próbnych i pierwszej rozmowy z Oliverem Stone, który szukał aktorki do roli Mariny Oswald w jego słynnym filmie "JFK". Ona po prostu była Mariną. Imponujące jest to, że wiele scen z jej i Gary'ego Oldmana udziałem było improwizowanych. A przecież to tylko jedna z jej licznych ról. Dalsza popularność przyniosły jej role w serialach "JAG", "Babylon 5", "Melrose Place", "The Young Indiana Jones Chronicles", "Mad about you" i wielu innych. Pani Beata pisze, wystawia i reżyseruje sztuki w założonym przez siebie teatrze awangardowym "Discordia".

Gra w Hollywood to ciche lub anonsowane marzenie każdego aktora i aktorki. Przedarcie się przez gęsty kordon chętnych to sukces nielicznych wybrańców losu. Talent i uroda (a tymi przymiotami pani Beata jest szczerze obdarzona przez naturę) nie wystarczają. Jeśli to prawda, że w karierze aktora potrzeba dużo szczęścia, to słuchając Beaty Poźniak szybko dochodzi się do przekonania, że szczęście sprzyja osobom o dużej inteligencji, profesjonalizmowi i niesłychanej energii działania. Nie tylko aktorstwo, nie tylko rzeźba i malarstwo, ale również i zaangażowanie społeczne ma duży udział w życiu pani Beaty. Jest ona inicjatorką ruchu mającego na celu propagowanie w Stanach Zjednoczonych 8 marca jako Międzynarodowego Dnia Kobiet. W rezultacie tej działalności ustawę o tym dniu uchwalono w 1994 roku. Od tego czasu, znów dzięki inicjatywie pani Beaty, co roku odbywa się uroczystość przyznawania nagród wielu zasłużonym osobistościom. Trzeba przyznać, że ruch ten znalazł w osobie pani Poźniak doskonałego ambasadora.



Spotkanie z Andrzejem Pietowskim

3 czerwca 2001

Andrzej Pietowski, podróżnik, nauczyciel matematyki mieszka obecnie w Nowym Jorku. Urodził się w Krakowie w 1954 roku. Studiował Elektronikę na AGH. Kierował wyprawą odkrywczą "Canoandes" do Kanionu Colca w 1981 roku, podczas której grupa Polaków przepłynęła kajakami Kanion. Wyczyn ten został zapisany w księdze Guinnessa jako pierwsze przepłynięcie tego niezwykłego kanionu. Wybuch stanu wojennego w Polsce zastał uczestników wyprawy w Peru. Pięcioro z nich zostało w Limie, by potem wyemigrować do USA, gdzie osiedlili się na stałe. Pietowski, który zamieszkał pod Nowym Jorkiem, jeszcze wielokrotnie wyprawiał się z przyjaciółmi do Ameryki Południowej. Ostatnio Pan Andrzej wstąpił się prowadzeniem wyprawy AMAZON 2000 pod auspicjami National Geographic Society, która ustaliła ponad wszelką wątpliwość położenie źródła rzeki Amazonki. Jak się okazuje, tych źródeł jest kilka, w związku z tym, aby odkryć to najważniejsze trzeba je najpierw odpowiednio zdefiniować a potem udowodnić, że to jest właśnie to. Dzięki użyciu pomiarowej technologii satelitarnej (GPS) można to zrobić obecnie z dokładnością do 1 metra.

Spotkanie z Andrzejem Pietowskim dla przeintelektualizowanych członków naszego klubu było przeżyciem sportowym na poziomie olimpijskim. Pan Andrzej, poza tym, że przeżył nadzwyczajne przygody, umie o nich ciekawie opowiadać, ilustrując opowieści nadzwyczajnie pięknymi fotografiami. Spotkanie pozostawiło pewien niedosyt, gdyż nietypowo miało miejsce w niedzielę, co ograniczyło czas przeznaczony na zadawanie pytań.

Wyprawy pana Andrzeja są bardzo dobrze udokumentowane. Zainteresowanych w szczegółach odsyłam do źródeł: National Geographic, December 2000.

Miejscem spotkania był piękny dom Państwa Stefana i Liliany Sznajderów. Słyszałem, że część członków naszego klubu zapisała się na listę uczestników przyszłej wyprawy pana Andrzeja, tych odważnych którzy to zrobili prosiłbym o uiszczenie składek przed wyruszeniem.

Tomasz Kachelski
Skarbnik Klubu



Spotkanie z Wojciechem Młynarskim 25 sierpnia 2001

Chociaż sporo członków klubu przebywało jeszcze na wakacjach, w ogrodzie gościnnych państwa Teresy i Mikołaja Gerutto zebrało się ponad sto osób - członków klubu oraz ich gości, miłośników twórczości Wojciecha Młynarskiego. Łatwo odgadnąć skąd taka frekwencja. Młynarski, autor tekstów piosenek, poeta, piosenkarz, librecista, tłumacz tekstów wybitnych piosenkarzy zagranicznych, to twórca znany dosłownie wszystkim. Niedawno obchodził czterdziestą rocznicę pracy twórczej. Przez te lata napisał ponad dwa tysiące utworów. Od początku swojej kariery był znany i lubiany. Zadebiutował w 1961 roku w Teatrze Studenckim "Hybrydy". Wiele z nas pamięta piosenkę z jednego z programów Po prostu wyjedź w Bieszczady. Chociaż, jak sam powiedział na spotkaniu, miał dużo szczęścia, bo dwie piosenki nagrodzone podczas Festiwalu w Opolu zwróciły uwagę Edwarda Dziewońskiego, który zaproponował mu współpracę w kabarecie "Dudek", my wiemy lepiej. To nie było szczęście, a kwestia czasu. Ten wspaniały talent nie mógł pozostać niezauważony. Młynarski z wrodzoną sobie skromnością opowiedział na spotkaniu o ludziach, którzy wywarli wpływ na kształtowanie się jego osobowości literackiej - o Jerzym Dobrowolskim, Kazimierzu Rudzkim, Agnieszce Osieckiej i innych znakomitościach polskiej kultury. Szczególnie ciepło wspominał wpływ Dobrowolskiego, twórcy legendarnych kabaretów "Koń" i "Owca". W obu spektaklach Dobrowolski realizował to, co przekazał potem Młynarskiemu: "Musi być dobry początek, bardzo dobry koniec oraz ważne, aby początek był blisko końca". I rzeczywiście, Wojciech Młynarski jak nikt potrafi zawrzeć tyle treści w paru zaledwie zwrotkach swoich "śpiewanych felietonów".

Nasz gość zacytował znakomite powiedzenie innego mistrza krótkich sformułowań, Kazimierza Rudzkiego, o w owych czasach "coraz bardziej otaczającej nas rzeczywistości". Istna perla; cenzura nie mogła mieć zastrzeżeń, a wszyscy pękali ze śmiechu. Bardzo to ładnie ze strony Młynarskiego, że wspomina z wdzięcznością swoich mentorów, ale nie mogliby oni wiele pomóc, gdyby nie mieli do czynienia z jego niezwykłym talentem i błyskotliwą inteligencją. Rzadko komu może udać się przez tyle lat zachwycać publiczność, nie tylko rówieśników, ale i nowe pokolenia. Nasz gość oprócz tego, że był i jest uważnym komentatorem zmieniającej się sytuacji w kraju, pisze również wspaniałą polszczyzną piękne teksty dla piosenkarzy i śpiewających aktorów. Zawsze niebanalne, bardzo zróżnicowane, pełne wdzięku i często humoru.

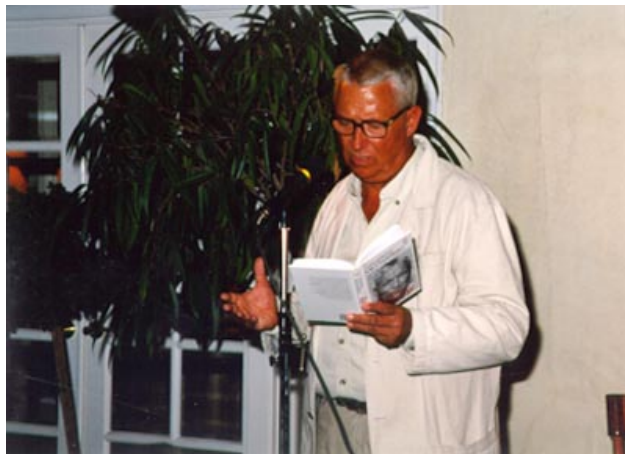
Chciałam podać kilka przykładów, ale nie sposób dokonać wyboru. Wojciech Młynarski sam zresztą ma w swoim repertuarze wiele utworów lirycznych. Inny rodzaj jego utworów to piosenki, których bohaterem jest przeciętny, skromny człowiek - pan Zdzisio uwieczniony w dwóch piosenkach, podróżny z piosenki Bynajmniej, lub zakochany młody człowiek z jednej z nowszych piosenek Nie mam jasności w temacie Marioli Autor traktuje ich z przymrużeniem oka, ale i z dużym ciepłem. Jeśli chodzi o piosenki o charakterze polityczno-społecznym, czterdzieści lat twórczości można chyba podzielić na dwie części. Pierwsze dwadzieścia lat to okres "późnego Gomułki" (piosenka Po co babcie denerwować cytowaną na spotkaniu klubowym, W co się bawić, Polska miłość). Potem okres Gierkowski z piosenkami Lubię wrony, Ballada o Dzikim Zachodzie, Układanka znów chciałoby się wymienić wiele innych. Zachwycały słuchaczy celnością obserwacji i umiejętnością przekazania zamierzonej treści tak, aby umknęła cenzurze. Następne dwadzieścia lat to okres twórczości trochę mniej znanej członkom klubu. W stanie wojennym Młynarski został uhonorowany nagrodą Solidarności za wydaną przez podziemie kasetę ze swoimi utworami.

W nowej Polsce twórca dalej "robi swoje". Taki też tytuł nosi jego najnowsza książka, którą podpisywał po spotkaniu i na którą było o wiele więcej chętnych niż liczba dostępnych egzemplarzy. Znakomity autorski zestaw nagrań ponad stu piosenek Wojciech Młynarski - Prawie całość rozszedł się również w oka mgnieniu. Jak wyglądają nowe utwory poety? Młynarski pozostał Młynarskim. Jego uważnemu oku nie umykają przywary rodaków w nowej Polsce. Utwory takie jak Ludzie marginesu, Smutne miasteczka, Ile ja dopłacam, W nieciekawych czasach, Slogan zmuszają do zastanowienia bohaterów znów coraz bardziej otaczającej (choć w inny sposób) rzeczywistości. Nowe utwory zostały przyjęte przez uczestników spotkania równie gorąco jak te znane od lat. Spotkanie było wartkie, świetnie i profesjonalnie przygotowane

przez artystę. Rada dla tych, którzy nie mogli być obecni: warto poprosić rodzinę lub przyjaciół w Polsce o przysłanie wspomnianej książki.

Miejmy nadzieję, że za parę lat znów będziemy gościć w klubie Wojciecha Młynarskiego - z nowym repertuarem, wciąż bezbłędnie oceniającym polskie realia.

/SEKRETARZ KLUBU



Wieczór z Romanem Czarnym 29 września 2001



W sobotę, 29 września 2001, spotkaliśmy się w rezydencji państwa Moniki i Davida Lehman, żeby odkrywać na nowo Romana Czarnego, Honorowego Członka naszego Klubu, najzyczliwszego mieszkańca Południowej Kalifornii, człowieka wielu zainteresowań i talentów, a przy tym Konsula Rzeczypospolitej w Los Angeles. Pełen zieleni, izolowany od świata zewnętrznego ogród stworzył znakomite tło dla piosenek Romka.

Jacek Serafin, który specjalnie przyleciał na to spotkanie z Arizony, poprowadził rozmowę i umiejętnie skłonił powściągliwego zazwyczaj bohatera wieczoru do opowieści o sobie samym. Usłyszeliśmy więc o jego uczestnictwie w festiwalach piosenki studenckiej, występach w klubach studenckich, a nawet o grze w reprezentacji Uniwersytetu Jagiellońskiego w siatkówce.

No i wreszcie usłyszeliśmy piosenki, ballady i śpiewane żarty Romka. Bo czym jest Czarna cebula i rzeźnika pot, jeśli nie śpiewanym żartem, piosenka o samej piosence, napisana w odpowiedzi na wyzwanie rzucone przez syna: "Jak jesteś, Tato, taki dobry, to napisz piosenkę na taki temat".

Dominowały jednak teksty refleksyjne, niektóre z nich bardzo osobiste. Takie było, lekkie na pozór, a w gruncie rzeczy poważne, Carpe diem takie były Moja Madonna i Trzy pory roku, nieśmiałe, jakby nieporadne, wzruszające wołania o miłość, takie były Dzieciaki, przejmującą modlitwa o przyszłość i szczęście dzieci. A już Modlitwa o moje blokowisko to ilustracja rzadkiej w naszych czasach, a tak typowej dla Romka życzliwości dla świata. Prosi w niej Boga o litość i odrobine szczęścia dla wszystkich bliźnich, w ich codziennej krzątaninie i szarym często życiu.

Nie bez kozery jednak Romek bawi się słowem zawodowo i prywatnie. Nawet najpoważniejsze przemyślenia i najgłębsze emocje chowa często za połyskliwą grą słów, nieoczekiwanymi kontrastami obrazu i nastroju albo za ledwie dostrzegalnym znakiem, sygnałem skojarzenia. Również humor i rubaszny śmiech kryją tu i ówdzie zupełnie niewesołe myśli. A nie brakowało humoru, w gorzko-satyrycznym obrazku Polaka prawdziwego, w Imionach prawdziwej miłości, w Homo Polonicus, ani tym bardziej w arcyzabawnym Konsulackim blues'ie Ta ostatnia piosenka wymagała od autora nie tylko talentu i poczucia humoru, ale wręcz odwagi. Żarty ze sprawy tak poważnej jak Konsulat i to w obecności samego SZEFA! Boże, miej naszego artystę w swojej opiece! A że sprawa jest poważna, nie ma wątpliwości, bo Konsul Generalny nie uśmiechnął się ani razu ...

Na wszelki wypadek jednak, tę ostatnią piosenkę brawurowo wykonał Tomasz Krzysztofik, który napisał do niej muzykę, a w Konsulacie nie pracuje. On też zaśpiewał Homo Polonicus, ze swoją muzyką i Bardzo smutny góralski blues w Chicago nocą, hej z muzyką Romka. Dynamiczne wykonania Tomka znakomicie kontrastowały z powściągliwą interpretacją Romka i wyraźnie ożywiły publiczność.

Mimo pogodnych akcentów wieczoru, nie mogliśmy nie pamiętać, że spotkanie nasze odbyło się w niespełna trzy tygodnie po tragicznych wydarzeniach na wschodnim wybrzeżu. Pamiętał o nich przede wszystkim Roman Czarny. Zakończył bowiem swój występ piosenką To my American friend, żarliwa deklaracja solidarności i współczucia dla tych wszystkich, którzy padli ofiarą terrorystycznej napaści.

Rozmowy towarzyskie były w ten wieczór cichsze i poważniejsze niż zwykle, mniej było śmiechu i wesołości, ale dobrze było spotkać się z przyjaciółmi i poczuć, że łączy nas więcej, niż to sobie na codzień uświadamiamy.

Dziękujemy, Romku!

Andrzej Łowkis



Spotkanie z Filipem Bajonem 14 października 2001

Październikowym gościem klubu był jeden z najwybitniejszych scenarzystów i reżyserów współczesnego kina polskiego, Filip Bajon. Przyjechał on do Los Angeles na promocję swego nowego filmu Przedwiośnie, którego projekcja odbyła się w przeddzień naszego spotkania. Filip Bajon jest twórcą o znacznym dorobku artystycznym. Już pierwszy jego film fabularny Powrót nagrodzono w 1977 roku Złotą Kamera, nagrodą dla najlepszego debiutanta. Dwa lata później nakręcił głośny film Aria dla Atlety, obsypany nagrodami na festiwalach krajowych i zagranicznych. Od 1970 roku publikuje utwory literackie w prasie, wydał również kilka powieści i zbiorów opowiadań. Dużym uznaniem cieszą się reżyserowane przez niego spektakle teatralne. Niestety nie wszystkie jego filmy były pokazane w Los Angeles. Większość z nas miała jednak okazję oglądać parę lat temu znakomitą Arię dla atlety i Magnata. Przejmującym filmem Bajona Poznań 56 otwarto w 1998 roku ACF Freedom Film Festival w Los Angeles.

Klubowe spotkanie rozpoczęło się projekcją spektaklu Telewizji Polskiej pióra Maryny Miklaszewskiej pod tytułem Hrabia. Prowadzący wywiad z twórcą i dyskusje po projekcji Andrzej Maleski zwrócił uwagę na głębokie zainteresowanie twórcy tematami historycznymi. Niewątpliwie coś w tym jest. Kanwą większości filmów Bajona są albo wydarzenia historyczne, albo akcja ich toczy się w odległych czasach. Tak też i było z ostatnio oglądanym Przedwiosniem. Temat o tyle ciekawy, że Przedwiośnie to przecież szkolna lektura i każdy z nas ma jakieś artystyczne lub emocjonalne odniesienie do tego utworu. Stąd zapewne mieszane reakcje odbiorców. Reżyser podzielił się z nami wspomnieniami z powstawania filmu i refleksjami na temat niewesołej sytuacji kina polskiego w obecnych czasach. Bardzo trudno jest uzyskać finanse na ambitne utwory; głównym miernikiem sukcesu jest tak zwana oglądalność. Filip Bajon jako dziekan Wydziału Reżyserii Katowickiej Szkoły Filmowej, ma okazję współpracować z obiecującym młodym pokoleniem twórców, którzy, jak twierdzi, mają wyższe cele. Reżyser ceni współpracę z młodymi artystami i ma nadzieję poprzez nich znaleźć drogę do młodzieży polskiej, wśród której najbardziej popularne są filmy amerykańskie.

Spektakl pokazany w czasie spotkania Hrabia jest sztuką telewizyjną, traktującą o wydarzeniu historycznym z początków dziewiętnastego wieku - procesie polskich oficerów i arystokratów oskarżonych o współpracę z dekabrystami. Scenariusz współczesny, tytułowa rola Leona Niemczyka, zagrana zresztą rewelacyjnie, jest również duchem bardzo współczesna. Aktor otrzymał za nią nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki. Inne postacie trochę przerysowane (magnetyczny uzdrowiciel to najbardziej zwariowany "naukowiec" pokazywany kiedykolwiek na scenach teatralnych), ale może też wyrastamy trochę z tej teatralnej konwencji jakby z lat siedemdziesiątych, co zauważył jeden z uczestników naszego spotkania.

Spotkanie odbyło się w teatrze Magicopolis, udostępnionym klubowi dzięki uprzejmości jego właścicieli, Steve'a Spill i jego żony Bożeny. Doskonałe miejsce na tego rodzaju imprezy. Polecamy się na przyszłość.

/Sekretarz Klubu



Spotkanie z Leszkiem Długoszem 3 listopada 2001

W sobotę 3 listopada kolejne spotkanie klubowe odbyło się u niezawodnych Zosi i Witolda Czajkowskich. Gościem Klubu był Leszek Długosz, śpiewający poeta, kompozytor, aktor, autor programów telewizyjnych i słuchowisk radiowych. Wydał kilkanaście tomików poezji, z których najnowszy nosi tytuł *Piwnica idzie do góry*. Leszek Długosz był, jak wiadomo, jednym z filarów kabaretu *Piwnicy pod Baranami*. *Piwnica* to magiczne słowo, przywołujące z pamięci wspomnienia okresu polskich lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy podskórne wrzenie intelektualne znalazło ujście w tekstach poezji recytowanej i śpiewanej. *Piwnica* była tworem bardzo elitarnym, co zresztą natychmiast spowodowało tworzenie legendy. Część członków klubu pamięta Leszka Długosza z występów na żywo. Dla nich wieczór był okazją przywołania z pamięci nastroju kabaretu, zapachu świec piwnicznych i spacerów przez *Planty nocą*. Inni zaś, być może większość, mieli okazję wyobrazić sobie atmosferę *Piwnicy* i przywołać wspomnienia z tamtych czasów. Bowiem program zaprezentowany przez naszego gościa był w nastroju refleksyjny, trochę nostalgiczny. Spinała go klamra jesieni. Jesieni - bowiem nie mamy już "tych dwudziestu lat", ale też jeszcze nie zimy, "bo jeszcze w sercu kipi". Nastroj wspomagała też i nietypowa dla Kalifornii aura tego wieczoru, rzeczywiście jakby jesiennie - polska.

Program spotkania był bardzo trafnie ułożony. Większość zaprezentowanych utworów to śpiewana poezja, ale z oryginalnym, pięknym podkładem muzycznym. Długosz jest wytrawnym pianistą i kompozytorem; sam tworzy muzykę do swoich utworów. Może dlatego też koncert był bardzo spójny, wartki i w rezultacie bardzo ciekawy. Artysta śpiewa również utwory innych poetów, które wzbogaca komponowaną przez siebie muzyką. A muzyka jest chyba nawet bliższa Długoszowi niż poezja, czego dowodzi utwór *Dziękuję Ci, Muzyko*. Nasz gość zarecytował również kilka pięknych własnych wierszy *Może za mało mamy spotkań z poezją*. Nie ta klasyczna, mickiewiczowska-norwidowska, której powinno się słuchać z należną czcią, ale ta bardziej rezonująca - o kwiecistej zwiewnej sukience, co w końcu idzie na szmatki, o miłości, która już tak nas nie obchodzi, albo o starych ludziach, którzy "siedzą w starym parku i czytają stare gazety".

Wieczór z Leszkiem Długoszem był bardzo potrzebny i odebrany został doskonale. Artystę przedstawił krótko, ale za to bardzo pięknie, Andrzej Łowkis. Jadzia i Andrzej Łowkisowie gościli artystę podczas jego pobytu w Los Angeles i zorganizowali jego przyjazd. Dziękujemy im za ten nastrojowy wieczór.

Sekretarz Klubu



Spotkanie z Aktorem Emilianem Kamińskim 1 grudnia 2001



Spotkanie odbyło się w pięknym nowym domu państwa Okuniewskich. Dom wymarzony na stałą siedzibę klubu, żeby tylko nie ta cena - \$2.5 miliona. Nie tracmy jednak nadziei, może znajdziemy sponsora, może któraś z członkiń klubu znajdzie bogatego i rozrznego męża.

Pan Emilian Kamiński jest aktorem Teatru Narodowego w Warszawie. W klubie zaprezentował nam spektakl pod tytułem *W obronie Jaskiniowca*. Sztuka oparta jest luźno na wątkach z książki Johna Graya *Men are from Mars, Women are from Venus*. Jednym słowem sztuka traktuje o sprawach damsko-męskich, czyli jest nie dla dzieci. Spotkanie zgodnie z zapowiedziami było zabawne i pikantne. Okazuje się, że wbrew politycznie poprawnym poglądom głoszonym w naszym kraju, różnice między kobietami i mężczyznami istnieją i mają się dobrze.

Pan Emilian starał się rzeczy przedstawić obiektywnie wcielając się w postać kobiety, aby za chwilę wrócić do postaci Jaskiniowca; to znaczy starał się zbalansować punkty widzenia obu zwalczających się stron. Z powodu jednak widocznej przynależności aktora do stada Jaskiniowców obraz nie był zupełnie obiektywny. Wydaje mi się, że większą wyrozumiałość wykazywał pan Emilian dla braci jaskiniowych niż dla ich partnerek.

Spektakl wymagał od wykonawcy niezwykłej pamięci i wytrzymałości fizycznej. Pan Emilian obie te cechy posiada, chociaż pod koniec dwugodzinnego spektaklu ochrypl. Spektakl w pewnych momentach wymagał interakcji aktora z widownią. Pan Emilian zrećnie unikał pułapek zwulgaryzowania tematu, o co było bardzo łatwo. Dodatkowym walorem spektaklu dla wielu z nas była realizacja, że my mężczyźni mamy podobne problemy w naszych relacjach z paniami i przez zrozumienie tego faktu możemy czuć się teraz mniej osamotnieni. Czy panie też tak to odebrały? Trudno mi powiedzieć. Dla członków wytrwałych, to znaczy dla tych którzy nie opuszczają imprez klubowych przed paniem kura pan Emilian wraz z małżonką Justyną zaśpiewali kilka romansów przy własnym akompaniamencie gitarowym. Po występie sprzedawana była taśma z nagraniami romansów (większość tekstów Wertyńskiego). Taśmę przesłuchałem, uczucia mam mieszane, dla mnie te piosenki brzmiałyby lepiej w oryginale.

Tomasz Kachelski

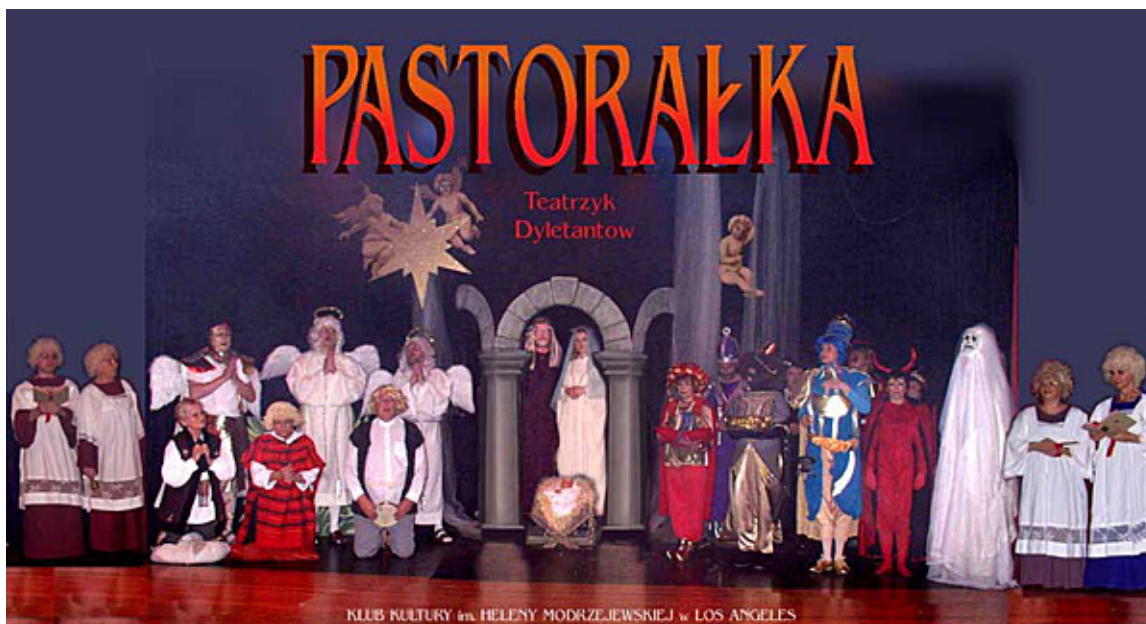


PASTORAŁKA

Teatrzyk Dyletantów

27 stycznia 2002

Po premierze Pastorałki spontanicznie nadesłano nam trzy recenzje. Zamieszczamy je w kolejności zgłoszeń.



PASTORAŁKA

Drodzy Znajomi i Nieznajomi,

Właśnie skończyłem przygotowywać pierwszą wersję książki internetowej, w której umieściłem zdjęcia zrobione podczas znakomitego przedstawienia "Pastorałki" Leona Schillera w reżyserii Marysi Piłatowicz, które miało miejsce w niedzielę 27 stycznia 2002 w teatrze "Magicopolis" w Santa Monica.

Spodziewałem się oszczędnie zrobionego przedstawienia ze stremowanymi "aktorami" - przecież byli to ludzie nie związani ze sceną (prawnicy, inżynierowie, lingwiści, psycholodzy, ekonomiści, plastycy, poloniści - mam na myśli panie i panów). Okazało się jednak, że nasi Rodacy sprawili radość sobie samym i nam - widzom - pozbywając się 90 % tremy i grając "od serca". Duża część widzów, to byli ich znajomi z Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej - to na pewno pomogło. Brawa dla publiczności!

Znam tylko kilka osób spośród aktorów. Na nich skoncentrowałem swoją uwagę. Artysta-plastyk Ewa Chodkiewicz-Świder (evadesign.com) zagrała diabła i była autorką projektu wspaniałych kostiumów. Nie wiem czy brawa na wejście każdej z postaci były dla poszczególnych aktorów, czy dla Ewy.

Pan Kleo Runzio - pastuch Kleofas - wielokrotnie wywołał brawa swoim śpiewem i wypowiedziami. Ania Kachelska - pastuch Jacenty o słomianych włosach - wielokrotnie rozbawiła publiczność. Jej uśmiech jest jak najlepsze lekarstwo. Witek Olszewski - feldmarszałek króla Heroda - swą posturą i mundurem budził respekt. Jego żona Dorota - król Melchior - dzielnie machała kadzielnicą i wydekłamaowała swoje kwestie jak na polonistkę przystało. Jacek Świder, który zagrał Adama, a następnie króla Heroda, zasłużył na największe brawa - grał wyjątkowo swobodnie i przekonująco.

Gdy na scenę wkroczyła Herodia - żona Heroda, po raz kolejny zabrzmiały gromkie brawa - również ten kostium był znakomity. Okazało się jednak, że Herodię gra Tomek Kachelski - wiec cała widownia zaczęła wyć ze śmiechu. Wyrzuty żony skierowane do Heroda, który wydał rozkaz rzezi niewiniątek (w tym własnego syna) i jej tubalne szlochanie kilkakrotnie rozśmieszyły widownię do rozpuku (a niektórych to nawet do rozpuku). Znam Tomka od 16-tu lat, ale nigdy nie myślałem, że jego widok kiedykolwiek sprawi mi taką radość.

Wielu z pozostałych aktorek i aktorów również znakomicie odegrało swoje role. Bravo!!!

Jestem wdzięczny organizatorom przedstawienia oraz zarządowi Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej i zarządowi teatru Magicopolis, za to że przedstawienie było otwarte nie tylko dla członków Klubu. Przede wszystkim jednak dziękuję Dorocie Czajce-Olszewskiej - ponieważ właśnie od niej dowiedziałem się o tym przedstawieniu.

Myślę, że trzy miesiące pracy nad przygotowaniem spektaklu powinny zaowocować nie jednym, a co najmniej dwoma przedstawieniami. Sam chętnie poszedłbym na "Pastorałkę" jeszcze raz.

Przedstawienie zostało nagrane na taśmę video, ale płaska taśma nie odda przecież nastroju żywego teatru.

Po raz kolejny udało mi się mieć to szczęście, że wskoczyłem do najciekawszego (w danym momencie) wagonu w pociągu zwanym życiem (a jak wiemy w większości innych wagonów jest przeważnie nudno).

W czasie spektaklu zrobiłem sporo zdjęć. Po przedstawieniu postanowiłem jakoś je wykorzystać i zbudowałem wspomnianą stronę (a raczej księgę) internetową (80 stron). Osoby mające powolne połączenie z Internetem mogą się nieco zniechęcić, ale nie chciałem odrzucić zbyt wielu zdjęć. Aktorzy mogą chcieć je zobaczyć - mimo że zdjęcia są trochę ciemne - ponieważ robiłem je bez użycia lampy błyskowej, by nie zakłócać przedstawienia.

Nie znam wielu z aktorów i dlatego podpisy pod niektórymi fotografiami podają nazwiska w złej kolejności lub dwa nazwiska pod jedną osobą. Proszę o wskazanie mi błędów, bym je mógł jak najszybciej poprawić.

Adres albumu jest następujący: <http://www.artini.com/pastoralka/pastoralka0.html>

Jeszcze raz dziękuję za wspaniałą rozrywkę,

Jacek Roszkowski

"Pastorałka" Leona Schillera

Miesiące zimowe są intensywne w wydarzenia o charakterze duchowym, ale również jest to pora karnawału, podczas którego zabawa przeplata się z religią a długie noce sprzyjają przeróżnym fantastycznym opowieściom. Jedną z pięknych polskich tradycji tego okresu, oprócz przebierańców, chodzenia po kołędzie oraz balów karnawałowych, są kolędy i widowiska szopkowo-jasełkowe.

Opowieść o Świętej Rodzinie z udziałem diabłów i aniołów, Heroda, Trzech Króli, i wielu innych postaci biblijnych - często nawiązująca do naszych polskich zalet i przywar - była i jest celebracją Narodzin Pańskich, a jednocześnie okazją do pokazania swojskiego humoru. Jest to tradycja ludowa, która pod koniec XIX i na początku XX wieku przyciągnęła twórców takiego kalibru jak Lucjan Rydel, Stanisław Wyspiański czy Leon Schiller.

"Pastorałka" Leona Schillera jest dziełem szczególnym, gdyż traktuje misteria bożonarodzeniowe z przymrużeniem oka i dużą dozą humoru.

Schiller wykorzystał autentyczne ludowe teksty misteryjne poczynając od średniowiecza po jemu współczesne i przełożył je na język teatru, spoglądając na wydarzenia biblijne poprzez specyficzny pryzmat polskiej szopki. W ten sposób powstała komedia biblijna, gdzie pastisz przeplata się z patosem a groteska z humorem.

Realizacji "Pastorałki" Schillera podjął się ostatnio Teatrzyk Dyletantów Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles. Tego typu sztuka teatralna jest trudna do grania, gdyż nie mieści się w kanonach ani typowego dramatu, ani komedii. Jednak grupa zapalonych miłośników teatru z Klubu Modrzejewskiej dowiodła, że można i warto jest stawiać sobie ambitne cele. Przedstawienie odbyło się 27-go stycznia 2002 roku na gościnnej scenie Teatru Magicopolis w Santa Monica.

Od pierwszych chwil, ze sceny powiało sarmacką gościna, gdy polski Szlachcic w tradycyjnym kontuszu zaprosił zabawnym monologiem do uczestnictwa w misterium narodzin Zbawiciela. A wszystko, jak wiadomo zaczęło się w Raju. Adam i Ewa kuszeni przez Diabła sięgnęli po zakazany owoc i stąd zaczęły się nasze grzechy i problemy, z których dopiero Odkupiciel mogli nas wybawić. Gdy Anioł Pański ogłosił pasterzom radosną nowinę o przyjściu na świat Zbawiciela, odnaleźli oni nie tylko sens życia i nadzieję na zmazanie grzechu, ale również i potrzebę złożenia hołdu Nowonarodzonemu. A droga ich do Betlejem była taka typowo polska, bo wiodła i przez Skalmierz, i Los Angeles, i Tyniec, i wiele innych miejsc zdeptanych polskimi stopami. A przecież był jeszcze i polski Żyd z kozłem do wynajęcia i Trzej Królowie zdążający do stajenki, i uroczy acz podstępny Diabełek i Herod okrutny, i Feldmarszałek posłuszny jak dziadek do orzechów i piękne Anioły w okularach i z wąsem, i wiele innych postaci, które przewijały się przez scenę szpalerem dowcipu i różnorodności. Sceny biblijne, przeplatane intermediami w formie klepanego pacierza, przemieszczały się tym bardziej wartko.

Wszyscy aktorzy wykazali się dużym kunsztem. Jednak szczególne brawa należą się Jackowi Świdrowi za zaiste komediowe potraktowanie zarówno roli Adama jak i Heroda, czołowych postaci spektaklu oraz umiejętność zawładnięcia publicznością. Jola Tensor w roli Matki Boskiej przepięknie wyśpiewywała kolędy przy żłobku Małego. Chociaż cała widownia je znała to jednak, pomimo zachęty by przyłączyć się do śpiewu, większość publiczności wołała napawać się jej śpiewem. Było wiele okazji do śmiechu, ale wszystko zostało przebite, gdy na scenie zjawiła się Herodia, grana przez Tomka Kachelskiego. Sam pomysł obsadzenia Tomka w tej roli jest już warty zasługi, a przepiękny kostium królowej w jakim on wystąpił uwypuklił zarówno znaczenie jak i tragiko-komiczną rolę Herodii w tej sztuce. Brawa dla reżysera, Marysi Piłatowicz, za taką decyzję.

Przedstawienie to zostało zrealizowane z dużym rozmachem. Prosta w konstrukcji, lecz bogata w formie scenografia subtelnie podkreślała istotę przedstawienia. Wspaniałe stroje, związane z polską tradycją zarówno ludową jak i teatralną były dużą atrakcją tego widowiska. Ewa Chodkiewicz-Świder zaprojektowała kostiumy prezentujące się tęczą barw, wiarygodnością i niesamowitą pieczołowitością detali. Jednocześnie, kostiumy dodały humoru, mieszając epoki i style. Niejeden profesjonalny teatr mógłby pozazdrościć takich kreacji. Stroje te, poprzez nawiązanie do polskich tradycji, podkreśliły mocno, że historia z Betlejem została osadzona w naszych rodzimych realiach. Dzięki temu, twórcy spektaklu uświadomili widzowi, uniwersalny charakter narodzin Zbawiciela. Ponadto, świetny akompaniament muzyczny i prowadzenie świateł uwypukliły treść sztuki.

Wydawałoby się, że we współczesnym świecie mass mediów, Hollywoodu, i MTV, ten rodzaj sztuki odszedł już do lamusa. Nic bardziej błędnego. Okazuje się, że dobra sztuka teatralna, w dobrym wykonaniu, jest w stanie trafić do publiczności. Wystawienie tej sztuki to wielomiesięczna praca członków grupy.

Wielkie dzięki dla Marysi Piłatowicz, która jako reżyser włożyła dużo serca i energii w zorganizowanie 22-osobowego zespołu. Nie jest to łatwe w żadnej sytuacji, a jest szczególnie trudnym, gdy większość składu aktorskiego stanowią inżynierowie słynący z dociekliwości i uporu. Pracując na codzien w różnych profesjach poświęcili oni swój wolny czas na przygotowanie tego jednorazowego spektaklu.

Chwała im za to, że podjęli się takiego zadania. Zrobili to tak dobrze, że aż żal, iż sztuka ta nie jest grana przez cały sezon karnawałowy.

Realizacja "Pastorałki" sprawiła satysfakcję uczestnikom tego przedsięwzięcia a jednocześnie zapewniła wspaniałą zabawę zebranej publiczności. Warte to było obejrzenia dla każdego, kto znalazł się na widowni.

Jan Świder

(zbieżność z nazwiskiem aktora Jacka Świdra jest całkowicie przypadkowa)

Diabelskie sztuczki w "Magicopolis"

Nie byłby diabeł diabłem - tfu, ty siło nieczysta! jak u nas mawiali w zaścianku - gdyby nie płatał ludziom figli.

Szatańskie moce z całą siłą występowały przeciwko idei wystawienia religijnego misterium Leona Schillera pt. "Pastorałka".

Końcowe próby przedstawienia odbywały się w teatrze "Magicopolis", którego współwłaścicielką jest pani Bożena. Występuje ona w różnych magicznych aktach budzących zdumienie i zgrozę. W foyer, za kulisami, pod scena teatru znajduje się masa niezwykłych obiektów, takich jak piszczele, trumny, obcięte damskie nogi, kościotrupy, używane w czarnej magii. Widzowie i aktorzy ocierają się o nie nieustannie. Nic też dziwnego, że jeden z aniołów - Sławek Brzeziński - wdrapując się na scenę potknął się o rzucony beztrasko piszczel i zaczął spadać ze schodów. Na szczęście lecąca na złamanie karku pierzastą postać podtrzymał przed upadkiem znajdujący się w pobliżu diabeł. Na ratunek upadającemu aniołowi pospieszył też ministrant Bolek Meluch. Pędząc w kierunku wypadku nadepnął on na ogon skaczącego do przodu diabła. W wyniku powyższego incydentu przedstawicielowi piekła ogon został prawie oderwany z tylnej części ciała. Widocznie Belzebub, za chęć okazania pomocy delegatowi niebios, pragnął w ten sposób ukarać swojego reprezentanta. Od tego czasu diabeł trzymał w garści koniec własnego ogona i wachlując się nim szatańsko się uśmiechał.

Wydział Drogowy z chwilą rozpoczęcia prób i podczas przedstawienia w "Magicopolis", rozkopał jezdnię przed teatrem do tego stopnia, że trzeba było dokonywać ekwilibrystycznych wyczynów, żeby przedostać się do wejścia. W niedzielę zaś, jak na zaklęcie, zaczęła się, rzadka w Kalifornii, ulewa. Przemoknięci do nitki widzowie musieli przedzierać się przez hałdy gruzu, błotniste kałuże i zalaną świeżym asfaltem jezdnię do foyer. Ciekła z nich woda i pachniało świeżo roztopiona smoła. Na dodatek stada czarnych, miauczących kotów przebiegały co chwilę ludziom drogę. Widziałem, jak nagle jedna z pań usiłując przekroczyć wyrwę w ziemi wylądowała na kocim stadku. Odgłosy wydawane przez wgniecione w błoto zwierzęta żywo mi przypomniały sceny z "Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa.

Zaczął się przedstawienie. Kiedy w pośpiechu, przebrawszy się z bogatych szat szlachcica w ubogi strój pastuszka, wgramoliłem się zza kulis na scenę, poczułem nagle bolesne ukłucie w stopę. Miałem wrażenie, że coś mnie dźgnęło widłami. Każdy krok, każdy ruch, powodował drgawki w lewej nodze. Z trudem, kulejąc, za pastuszkami wywlokłem się na środek sceny. Po odegraniu swojej partii na czworakach zlazłem, po wąskich, stromych schodach, do szatni. Kiedy zdjąłem pastuszy łapeć, zauważyłem grubą, wielką igłę z czarną, lekko osmoloną nitką tkwiącą w kości mojej lewej stopy. Jak się okazało to diabeł ze swoim pomocnikiem - Alicją Szwaglis - "szył mi buty" (dosłownie). Podobno, po skończonej pracy, obie panie zapomniały usunąć igłę z łapcia. Ha! Ha! Ha! Skąd my to znamy?

Inna zagadką było systematyczne znikanie metalowego zawieszenia na stalowym trójkącie. Dźwięk uderzeń żelaznym prętem po tym instrumencie muzycznym miał towarzyszyć słowom śpiewanego przeze mnie łacińskiego tekstu. Niestety, najczęściej zawieszenie tuż przed wykonaniem pieśni - znikало.

I tak, przed samym występem, Staszek Szwaglis, widząc wynikłe problemy, przyniósł z domu łańcuszek. Przytwierdziłmy to z inspicjentką Krysią Okuniewską do trójkąta, lecz kiedy stanąłem przed publicznością sięgnąłem do kosza po instrument, łańcuszka na nim nie było. Uderzenie po trzymany w palcach trójkącie nie dało efektu. Co u diabła! - burknąłem do siebie ze złością, i wtedy zza kurtyny usłyszałem złośliwe Chi! Chi! Chi! - szatana. Wielki hetman koronny - Jan Karol Chodkiewicz zapewne przewraca się w grobie i pluje w swoją siwą brodę, że jego krewniaczka - Ewa z Chodkiewiczów-Świder - poszła na usługi szatana.

W trakcie przedstawienia, na skutek ciężkich strojów, takich jak kontusz, szeroki pas słucki, czy też odzież pastuszka, w pomieszczeniu za sceną, bez okien i wentylacji, aktorom było duszno. W związku z powyższym w czasie gry, wielu artystom dawało się we znaki pragnienie. Gaszono je okowitą, piwem, miodem pitnym. Nie pomagało to jednak wiele. Spożyte gradusy plus napięcie i trema wpływały na wypaczony odbiór rzeczywistości przez uczestników w przedstawieniu. Kiedy więc w zasięgu mojego wzroku pojawił się Żyd z kozą postanowiłem natychmiast wydoić zwierzę i mlekiem ugasić pragnienie. Podbiegłem z tyłu, rzuciłem się na kolana i zacząłem rękoma szukać wymienia. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że po pierwsze, to nie była koza a kozioł, a po drugie, był to - Edek Piłatowicz, który wszedł fantastycznie w rolę capa.

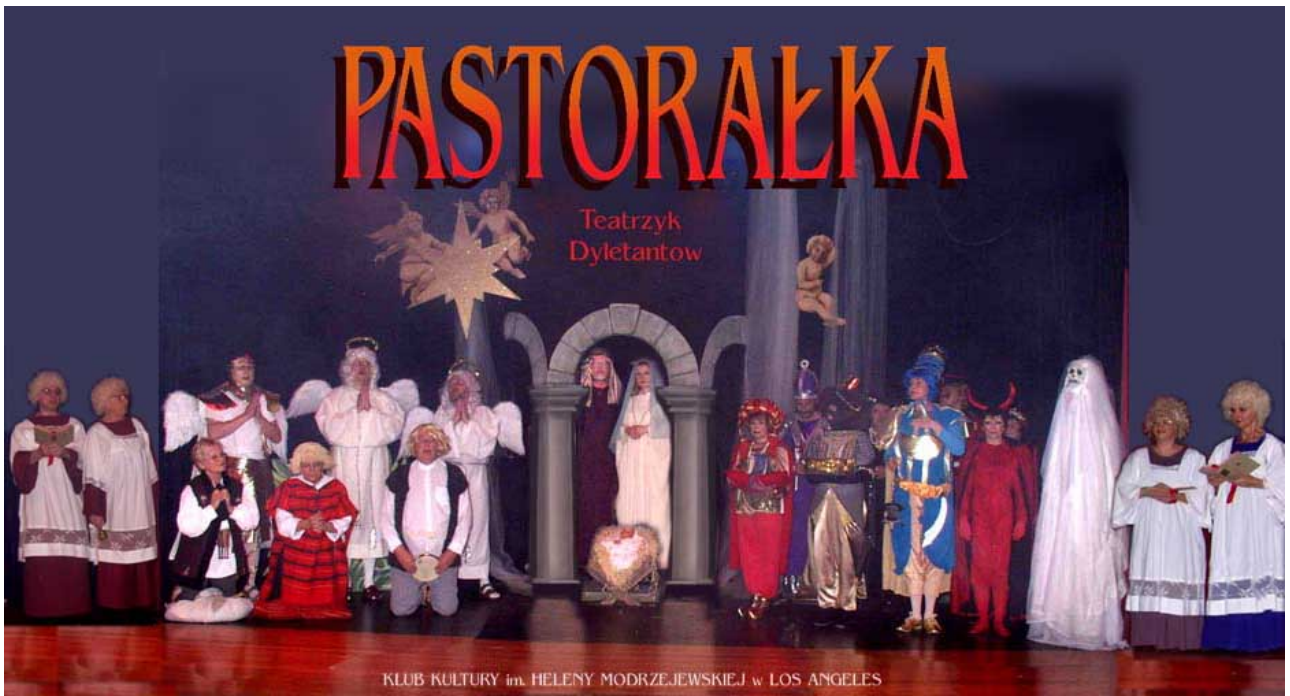
W czasie prób, dr Basi Zakrzewskiej, żony niżej podpisanego, wykonującej podkład muzyczny na keyboardzie, dwukrotnie, ni z tego, ni z owego, włączyła się głośna muzyka big-beatowa. Nie można było od razu jej wyłączyć, nawet przy pomocy takich fachowców, jak Zosia Czajkowska czy Tadek Podkański. Widocznie szatańskie kopyto w ciemnościach nacisnęło nieodpowiedni klawisz.

Do innych szatańskich tricków należy stwierdzenie diabła podpowiedziane prezesowi klubu Modrzejewskiej Joli Zych, która przekazała je w powitalnej mowie do gości zgromadzonych na widowni. Chodzi o to, że podobno 90 % uczestników w przedstawieniu "Pastorałki" stanowili inżynierowie. Tymczasem w rzeczywistości tylko 11 osób z 31 jest absolwentami politechnik. Sprawdziło się też staropolskie przysłowie, że "każda sroka swój ogon chwali". W celu załagodzenia faux-pas, na spotkaniu po przedstawieniowym przyznano wszystkim nie-inżynierom tytuł "inżyniera humoris causa".

Marysi Piłatowicz, która wspaniale wyreżyserowała sztukę należą się też pochwały za uginające się stoły z doskonałymi wyrobami kulinarnymi, jakimi potraktowano gości w jej pałacu. Przypuszczałem, że otrzymała tę siedzibę od króla Heroda za zasługi położone w trakcie pełnienia funkcji housekeeperki w jego zamku. Okazuje się jednak, że król Herod tylko buławą poklepał ja od tyłu, kiedy leżała na brzuchu przed jego tronem. Natomiast niebiosy, w nagrodę za opozycję Piłata przeciwko ukrzyżowaniu Chrystusa, dały jego dalekiemu potomkowi z Polski - Edwardowi Piłatowiczowi - rolę archanioła w sztuce oraz wspaniały dwór. Siły nadrzędne powstrzymały go także przed wielokrotnym samoobrzezaniem, kiedy wkładał wielki miecz do nogawki zamiast do pochwy.

Kleofas Hubert Rundzjo,
szlachcic z zaścianka Oddzielno w Kurlandii



















Bal Trzydziestolecia 9 lutego 2002



Tajemnicą poliszynela jest prawdziwy powód umieszczania notatek post factum o wydarzeniach klubowych. Chodzi, proszę państwa, o to, aby członkowie, którzy z jakichś przyczyn nie mogli w danym wydarzeniu uczestniczyć, po prostu żalowali. Nic też dziwnego, że notatki utrzymane są w tonie pogodnym, a czasami są wręcz entuzjastyczne.

Tym razem nie trzeba wyszukiwać pozytywów. Otóż bal udał się tak, że nawet z zimnego ekranu komputerowego powinno powiać ciepłą satysfakcją. Po pierwsze, nasza impreza odbyła się w eleganckiej sali bankietowej Lakeside Golf Club w Burbank (bardzo dziękujemy państwu Wilkom). Po wtóre, sala była pięknie udekorowana z okazji balu przez naszych utalentowanych artystów - Krysię Okuniewską i Adama Zycha. Styłowy emblemat przypominał zebranym, że właśnie minęło trzydzieści lat istnienia klubu. Na ścianie zaprezentowano humorystyczne portrety panujących dotychczas władców: Tadeusza Bociańskiego, Zosi i Witka Czajkowskich, Edka Piłatowicza i Joli Zych.

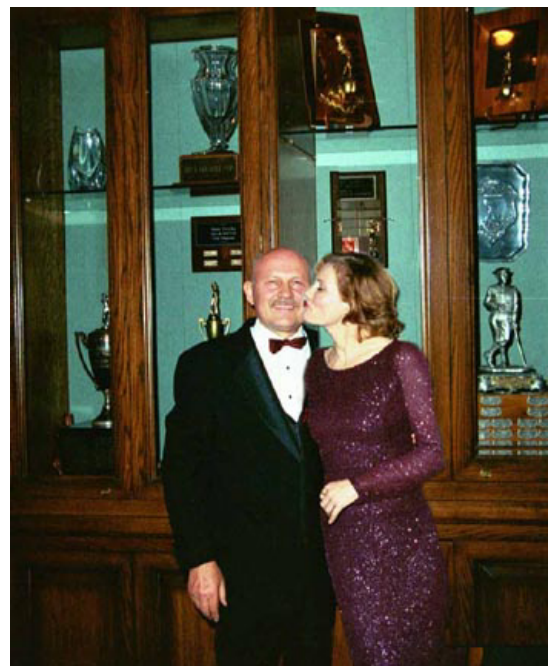
I od akcentu rocznicowego bal się rozpoczął. Panowie Tadeusz Bociański i Edek Piłatowicz otworzyli wieczór zabawnymi kupletami sentymentalno-wspomnieniowymi o tym jak to drzewiej w klubie bywało. Dobry nastrój podtrzymała Grażyna Szapołowska, honorowy gość balu, która zaśpiewała dwie piosenki. Po niej wystąpił Piotr Andrzejewski w przebojowej interpretacji arii ze Skrzypka na Dachy. Po doskonałej kolacji nastąpiły tańce, przeważnie z partnerami, których wybraliśmy wiele lat temu, a więc zgranymi i nie następującymi na palce.

Doskonały zespół Karen Hammack zebrał na koniec w pełni zasłużone brawa. Dodatkową niespodzianką wieczoru była obecność ekipy filmowej Telewizji Polonia, która przybyła do Los Angeles, aby nakręcić film poświęcony naszemu klubowi. Być może w filmie ukażą fragmenty balu. I bardzo dobrze. Ten wieczór warto upamiętnić.

/ Sekretarz Klubu







NOC CZERWCOWA

Spotkanie z Grażyną Szapołowską

23 lutego 2002

Grażyna Szapołowska, gość honorowy Balu Trzydziestolecia, przywiozła taśmę z nagraniem Nocy Czerwcowej - telewizyjnego spektaklu w reżyserii Andrzeja Wajdy według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza. Była więc okazja do spotkania klubowego, które odbyło się u niezawodnych Zosi i Witka Czajkowskich. Najpierw odbyła się projekcja sztuki, w której pani Szapołowska zagrała jedną z głównych ról, następnie mieliśmy okazję dyskusji z aktorką.

Każdy film lub sztuka teatralna w reżyserii tak znakomitego twórcy jest oczywiście magnesem dla publiczności. Tym bardziej, że projekcja Nocy Czerwcowej była w zasadzie prywatną prapremierą i nikt z zebranych członków klubu nie był wstępnie obciążony recenzjami z kraju. Noc Czerwcową to sztuka z dość typową osią dramatyczną i przez to trochę ryzykowną w realizacji. Gdy pada nazwisko Wajda, oczekiwania publiczności są bardzo wysokie. Spodziewana jest wirtuozeria światła, obrazu i dźwięku. Na pewno trudniej jest to osiągnąć w ramach spektaklu telewizyjnego. Pani Grażyna była obsadzona świetnie i zagrała doskonale. Trochę rozczarował Aleksander Domagarow, znakomity Bohun w Ogniem i Mieczem, tutaj grający rosyjskiego oficera stacjonującego w rezydencji polskiej arystokratki, której mąż przebywa na zesłaniu. Jak dowiedzieliśmy się z rozmowy z aktorką, Domagarow, nie znający języka polskiego, uczył się swoich kwestii na pamięci to na pewno miało wpływ na ostateczny rezultat. Znakomicie natomiast zegrali pozostali aktorzy: Anna Polony, Stanisława Celińska, Ignacy Gogolewski i Jerzy Radziwiłłowicz.

Po projekcji gospodarz spotkania, Witek Czajkowski, poprowadził rozmowę z aktorką. Zaczęła się ona od dyskusji na temat oglądanego spektaklu, obsady aktorskiej, anegdot z planu i spoza planu. Pani Grażyna, która w trakcie pełnej sukcesów kariery artystycznej wystąpiła w 60 (sic!) filmach i otrzymała ogromną ilość nagród, podzieliła się z nami wspomnieniami ze współpracy z wielkimi postaciami polskiego i europejskiego kina.

/ Sekretarz Klubu



Spotkanie z prof. Andrzejem Rottermundem

24 marca 2002



Kurna chata jakoś mi się nigdy nie marzyła, albowiem wszystko co zbudowane z drewna kojarzy mi się z ulotnością i tymczasowością. Patrząc na "mury" mej kalifornijskiej chatki i wzdycham do czegoś trwalszego, czegoś obdarzonego pamięcią. Z atencją więc i niekłamana radością wysłuchałam interesującego wykładu połączonego z wyświetlaniem przezroczy, znakomitego gościa Klubu im Heleny Modrzejewskiej, pana na Zamku Królewskim w Warszawie, prof. dr hab. Andrzeja Rottermunda. Profesor Rottermund uczestniczył od początku w odbudowie Zamku i tworzeniu jego dzisiejszej postaci jako członek Komisji Architektonicznej, następnie kurator Oddziału Zamek Królewski w Muzeum Narodowym w Warszawie, zastępca dyrektora, a w końcu od 1991 roku dyrektor Zamku Królewskiego. Nic więc dziwnego, że zna wszystkie niemalże cegielki szacownej budowli, a także historie z tymi cegielkami związane.

Zamek Królewski powstał jako siedziba książąt mazowieckich w XIII wieku. W wieku XVI po śmierci ostatniego księcia mazowieckiego przeszedł we władanie królewskie i stał się siedzibą władzy ustawodawczej - Sejmu Rzeczypospolitej. Był kolejno przebudowywany przez Zygmunta Augusta, Zygmunta III Wazę, Jana III Sobieskiego, Augusta II i III, wreszcie przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, dzięki któremu powstały wspaniałe wnętrza wypełnione dziełami sztuki i Biblioteka Królewska umieszczona nad północnym skrzydłem pałacu pod Blachą.

W Zamku jak w lustrze odbijały się burzliwe dzieje państwa polskiego. Wielokrotnie niszczone stawał się łupem szwedzkich najeźdźców oraz zaborców: pruskiego i rosyjskiego. Jego mury były świadkami detronizacji Mikołaja I jako króla polskiego. W nim po upadku Powstania Listopadowego zamieszkał zajadły wróg Polski, carski namiestnik feldmarszałek Iwan Paskiewicz, który systematycznie i zawzięcie niszczył siedzibę królów polskich. Na jego polecenie wywieziono do Petersburga obrazy Canaletta, a ze ścian Gabinetu z portretami królów wyrwano marmury. Z jego też rozkazu pamiętającą Konstytucję 3 Maja Salę Senatu podzielono na dwie kondygnacje i urządzono w niej mieszkania dla rosyjskich urzędników, Salę Poselską natomiast przeznaczono na pomieszczenia biurowe. Po odzyskaniu niepodległości na mocy ustawy z 1920 roku Zamek stał się gmachem reprezentacyjnym Rzeczypospolitej, a w 1926 roku został siedzibą Prezydenta. Prace konserwatorskie trwały przez cały okres międzywojenny. Przywrócono między innymi pierwotny wygląd apartamentów stanisławowskich, komnat renesansowych i Sali Senatu. We wrześniu 1939 roku w wyniku bombardowań oraz obrzucania pociskami zapalającymi spłonęły dachy Zamku i zapadł się strop nad Salą Balową. W tym czasie pracownicy Muzeum Narodowego i Zarządu Miejskiego przy pomocy mieszkańców Starego Miasta ratowali i wywozili fragmenty zamkowego architektonicznego wyposażenia. W początku listopada, po wkroczeniu Niemców do Warszawy, zapadła decyzja o zniszczeniu Zamku i nieodbudowywaniu stolicy. Hitlerowcy wywieźli pozostałe wyposażenie, a następnie wywiercili dziesięć tysięcy (!) otworów na ładunki dynamitowe. Ograbione mury warszawskiego Zamku wysadzono po Powstaniu Warszawskim. Konieczność odbudowy zabytku została zatwierdzona w roku 1949, jednak ostateczną decyzję o odbudowie podjęto dopiero w roku 1971. Dzięki składkom i pomocy Polaków z całego świata, podwoje Zamku Królewskiego wreszcie otworzono w trudnym dla Polski roku 1981.

Po ciekawej prezentacji jak zwykle był czas na zadawanie pytań. Uczestników spotkania interesowały łazienki (czy takowe w Zamku w ogóle istniały), sprawa odzyskania zrabowanych dzieł oraz kolor Zamku. Jakież było zdziwienie słuchaczy, kiedy dowiedzieli się, że król Stanisław August pobierał kąpiele w ... zamkowej pralni. Co do zwrotu dzieł sztuki sprawa nieco się komplikuje. Na odzyskanie zrabowanych dóbr w wieku XVII i w czasie zaborów nie ma co właściwie liczyć. Trudno bowiem udowodnić, że znajdujące się poza granicami od kilku wieków dzieła należą do państwa polskiego. Pracownicy Zamku koncentrują się przede wszystkim na i tak żmudnym procesie odzyskiwania wyposażenia zamkowego wywiezionego z Polski w czasie II wojny światowej. Natomiast różowy kolor budowli nie jest efektem architektonicznych fanaberii budowniczych, a jedynie wynikiem zdobytej informacji, że onegdaj Zamek miał kolor zmielonej cegły.

Spotkanie miało miejsce 10 marca 2002 roku, a jego gospodarzami byli państwo Krystyna i Artur Okuniewscy. Wszystkich przybyłych powitała Prezes Klubu im Heleny Modrzejewskiej pani Jolanta Zych, a sylwetkę profesora Andrzeja Rottermunda przybliżyła pani dr Monika Król. Dr Monika Król jest współorganizatorka wystawy "Awangarda Europy Środkowej", która odbywa się w Los Angeles Country Museum of Art, a na którą zostali zaproszeni pan profesor Andrzej Rottermund i pan profesor Janusz Odrowaz-Pieniazek, dyrektor Muzeum Literatury w Warszawie, także przybyły na spotkanie w Klubie im Heleny Modrzejewskiej. Miłej atmosfery dopełniły wiosenne kompozycje tulipanowo-baziowe autorstwa Krysi Okuniewskiej.

Z pogardą patrząc na nowe mebelki pamiętające co najwyżej czasy "panowania" George'a Bush'a seniora, wrażeniami ze spotkania pisuje w nastroju zdecydowanie historyczno-nostalgicznym.

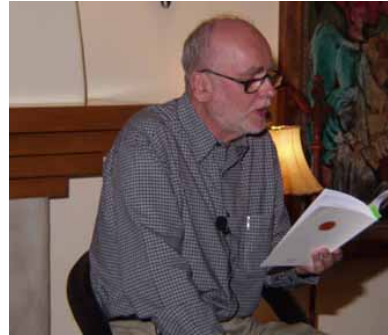
Dorota Czajka-Olszewska



W POSZUKIWANIU POEZJI Spotkanie z Adamem Zagajewskim 20 kwietnia 2002

„Żyłem pokornie, czytając gazety,
myśląc o zagadce władzy
i o przyczynach posłuszeństwa.
Oglądałem zachody słońca
(szkarłatne, pełne niepokoju),
słuchałem, jak cichną głosy ptaków
i jak milczy noc.”

(fragment wiersza Przemiana z tomiku Ziemia Ognista-1994)



W rytmicznie odmierzanych dniach naszej codziennej egzystencji jest poezja. W parkach, poczekalniach dworcowych i pociągach, w metrze, w hotelowych pokojach i opuszczonych wojskowych koszarach. Ukradkiem, snuje się ona za nami każdego dnia i o każdej porze. Można ją znaleźć nawet w lusterku samochodowym:

„W lusterku samochodu zobaczyłem
nagle bryle katedry w Beauvais,
rzeczy wielkie mieszkają w małych
przez chwilę.”

(Lusterko samochodu z kolekcji Jechać do Lwowa-1985)



Poezja uparcie żyje w polu naszego widzenia, skrycie tkwi w najprostszycy czynnościach i najdrobniejszych przedmiotach - trwa niezmiennie w zasięgu naszej ręki... Nasz gość klubowy, Pan Adam Zagajewski - wybitny, współczesny poeta i prozaik - tam właśnie często sięga po źródła poetyckiej inspiracji.

Dla wielu z nas, przebywających na emigracji od szeregu lat, spotkanie z twórczością Adama Zagajewskiego było pewnego rodzaju objawieniem. Od roku 1983 mieszka on w Paryżu, czyli podobnie jak my jest emigrantem. Od roku 1988, każdej wiosny, wykłada Creative Writing na University of Huston. Zapytany o wpływ emigracji na jego twórczość twierdzi, że nie posiada "etosu emigranta," bo opuścił Polskę nie z przyczyn politycznych, ale osobistych. Jednak utwory jego nacechowane są ogromnym dystansem do otaczającej go rzeczywistości. Kulturowe wyobcowanie, będące następstwem emigracji, bezsprzecznie musiało się przyczynić do zajęcia takiej postawy poetyckiej.

W wierszach Zagajewskiego, prócz codzienności, odnajdujemy tak dobrze znane emigrantom uczucia alienacji kulturowej i językowej, osamotnienia, bezdomności i braku emocjonalnego zakorzenienia w obcej rzeczywistości. Niektóre z tych dolegliwości są dla wielu z nas, mimo upływu lat, nieuleczalne.

Podczas wieczoru Pan Adam przeczytał szereg swoich utworów z tomiku Poznane święta (1998), w tym kilka z nich również w tłumaczeniu na angielski. Podzielił się też z nami wierszami, które jak sam powiedział, były jak świeże bulki, jeszcze, ciepłe," bo powstały właśnie w trakcie podróży i pobytu w Los Angeles.

Po części poetyckiej, gość nasz odpowiedział na kilka pytań dotyczących motywów emigracyjnych w jego twórczości oraz opracowań krytycznych poświęconych tej kwestii. Opowiedział nam również o niezwykłym wieczorze poświęconym polskiej poezji współczesnej, zorganizowanym przez New York Institute for Humanities i Poetry Society of America w Nowym Jorku, w którym uczestniczył. Po zakończeniu oficjalnej części spotkania Pan Adam długo i cierpliwie podpisywał książki i rozmawiał z wieloma wielbicielami jego poezji. Pomimo upartych usiłowań ze strony zarządu klubu, aby udostępnić członkom nabycie książek Pana Adama, udało im się kupić zaledwie kilkanaście egzemplarzy tomików Canvas i Mistycyism for Beginners (w wersji angielskiej), które z reszta rozeszły się w mgnieniu oka. Ciekawym zjawiskiem jest, że angielskie tłumaczenia poezji i prozy Pana Adama Zagajewskiego można zamówić prawie w każdej większej księgarni (Borders czy Barnes & Noble, jak również on line). Natomiast w pięciu polskich księgarniach w USA, z którymi kontaktowała się Prezes Jola Zych, książki tego poety są nieosiągalne.

Państwo Joanna i Andrzej Malescy dali nam i poezji schronienie pod swoim dachem i jak to zwykle u nich bywa, stworzyli atmosferę sprzyjającą pokrzepieniu serc, nie mówiąc już o podniebieniach i żołądkach (bo przecie nie po to się spotykamy!). Dzięki im za to!



Dla zainteresowanych:

Adam Zagajewski opublikował w USA cztery zbiory poezji:

Tremor, Canvas, Mysticism for Beginners, a w lutym br. Without End.

Jego eseje, wspominki oraz refleksje proza również ukazały się w angielskim przekładzie.

Oto tytuły: Solidarity and Solitude, Two Cities i Another Beauty (z przedmową Susan Sontag).

Spotkanie z Adamem Zagajewskim prowadziła, jak również popeliła powyższe sprawozdanie -

Marysia Piłatowicz



Spotkanie ze Zbigniewem Rybczyńskim 1 czerwca 2002



Ukoronowaniem tegorocznego sezonu było spotkanie ze znakomitym twórcą filmowym Zbigniewem Rybczyńskim. Informacja o spotkaniu zawierała sporo wiadomości o artyście oraz imponującą listę nagród z "Oskarem" na czele. Nic też dziwnego, że w domu Krysi i Artura Okuniewskich tłumnie zgromadzili się członkowie klubu i ich goście pragnący usłyszeć credo artysty, genezę jego prac i własną ocenę drogi do sukcesu. Pan Zbigniew przygotował fascynującą prezentację, bogato ilustrowaną fragmentami jego filmów, bardzo osobistą, która zawierając mnóstwo informacji nie przypominała jednak suchego wykładu z historii filmu lub estetyki i potrafiła przyciągnąć uwagę zgromadzonych.

Nasz gość, po ukończeniu Liceum Plastycznego, studiował w Szkole Filmowej w Łodzi na wydziale operatorskim. Ponieważ istniejąca technologia filmowa ograniczała możliwości realizacyjne jego pomysłów, od samego początku rozpoczął pracę nad własnymi technikami, które stosował podczas tworzenia eksperymentalnych filmów krótkometrażowych. Pierwsze znaczące dzieło, które zobaczyliśmy podczas spotkania, to "Kwadrat" - film z roku 1971, w którym proste formy przez ciągłą ewolucję przeistaczają się w sposób logiczny i gładki w ruchy ciała ludzkiego. Wybór pierwszego utworu był bardzo trafny, gdyż ten film już ponad trzydzieści lat temu uwypuklał dominujące cechy w dziełach Rybczyńskiego - zafascynowanie ruchem i rytmem zjawisk wizualnych podkreślonych muzyką. Artysta kontynuował pracę w zespole "Warsztat Formy Filmowej" i w łódzkim studiu Se-Ma-For. Powstałe w tym czasie filmy (między innymi "Zupa", który otrzymał główną nagrodę na festiwalu w Krakowie w 1974), przyniosły mu uznanie krajowej i międzynarodowej krytyki. Po ogłoszeniu stanu wojennego Rybczyński, współpracujący czynnie z "Solidarnością", uzyskał azyl polityczny w Wiedniu, gdzie kontynuował prace. W 1983 roku jako pierwszy w historii Polak, otrzymał nagrodę "Oskara" w kategorii animowanego filmu krótkometrażowego za słynne 8-minutowe "Tango". Wkrótce potem artysta wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, osiadł w Nowym Jorku i w założył eksperymentalne Zbig Vision Studios.

Zbigniew Rybczyński podkreślał kilkakrotnie podczas spotkania, że przesłanie dzieła, pomysły artystyczne artysty - choćby niesłychanie nowe i fascynujące - to jednak tylko jego część. Benedyktyńskie zmaganie się z materiałem prowadzące do powstania kilku klatek filmu w początkowym okresie twórczości sprawiło, że z nadejściem nieznaną dotąd High Definition TV, jako pierwszy zrozumiał fenomenalne możliwości tej technologii. Oryginalne próby Zbiga w tej dziedzinie otworzyły zupełnie nowe horyzonty artystyczne zarówno dla niego, jak później i dla wielu innych twórców. Jego nowatorskie pomysły znalazły entuzjastyczne przyjęcie między innymi wśród muzyków związanych z szybko rozwijającą się w latach 80-tych MTV. Music-videos Rybczyńskiego wyróżniały się oryginalnymi efektami wizualnymi.

Za tę twórczość otrzymał wiele nagród: trzykrotnie MTV Music Video Awards, American Video Awards, Monitor Awards, i w 1986 roku Billboard Music Video Award, MTV Video Vanguard Award oraz Video of the Year Award. Aż do 1994 roku był praktycznie jedynym artystą pracującym w High Definition TV. Powstały w tym czasie filmy, które Zbig ceni sobie najbardziej, a których fragmenty mieliśmy okazję podziwiać podczas spotkania: "Schody", "Czwarty Wymiar", "Orkiestra" i "Kafka". Filmy te obsypano nagrodami: Srebrne Lwy w Cannes, nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Rio, Grand Prix na festiwalu w Tokio, Emmy, Prix Italia, High Vision Award w Tokio, Golden Gate Award na festiwalu w San Francisco i Grand Prix w Montreux. Statuetki Oscara, Emmy i MTV Award można było w trakcie spotkania zobaczyć na własne oczy. W latach 1994-1997 artysta prowadził pionierskie prace w dziedzinie technologii cyfrowej stosowanej w sztuce filmowej w Berlinie w CBF-Centrum, a od 1998 wykładał również w Academy of Media Arts w Kolonii. W 2001 roku otrzymał nagrodę TV Polonia "Za sławienie Polski i Polskości poza granicami kraju".

Od września mieszka ponownie w USA, w San Fernando Valley i współpracuje z Ultimatte Corporation w Chatsworth. Kontynuuje tam intensywne badania nad programami komputerowymi i nowymi urządzeniami służącymi do produkcji filmów, video oraz virtual reality, które chce zastosować w przyszłej twórczości filmowej. Z pewnością wkrótce niedługo będziemy świadkami nowych cudów w kinematografii autorstwa naszego utalentowanego rodaka, wybitnego ambasadora polskiej kultury.

Spotkanie to - jedno z najdłuższych w historii Klubu - poprowadził ze znakomitym rozeznaniem merytorycznym Krzysztof Wojciechowski, a gospodarze - Krysia i Artur Okuniewscy dołożyli wszelkich starań, aby wszyscy czuli się komfortowo.

Tekst opracowała sekretarz klubu

Krystyna Kusza

